

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

16)

Nazajutrz dzień był dżdżysty, chmurny, a dopytawszy się o adres policyi, stanął Roman przed kamienicą starą, odrapaną, brudną i wszedł do pierwszych spotkanych drzwi. Zastał tam gromadę ludzi, których ubrania parowały, co w połączeniu z dymem tytoniu i cygar, palonych przez urzędników, wytwarzało atmosferę trudną do zniesienia. W niewielkiej, podłużnej sali, ujrzał za drewnianymi balaskami i kratami kilkunastu urzędników, siedzących tak blisko siebie, że niemal trącili się łokciami. Niektórzy siedzieli po dwóch przy jednym małym stoliku, i gdy jeden zapisywał interesa zgromadzonej publiczności, drugi musiał odpoczywać.

Sciany pokryte były półkami, podzielonemi na kwadraty numerowane, w których spoczywały zapiski policyjne, a gdy urzędnik sięgnął po leżące papiery, podnosiły się tumany kurzu. W sali tej panował ścisk, zaduch, gwar, nawoływania urzędników, pokorne prośby interesantów, a przybite nad okienkami w kratkach tabliczki poinformowały Romana, jakie to sprawy załatwiają tu urzędnicy.

Roman, sądząc, że tu dowie się o podaniu Stokłosa, czekał cierpliwie swej kolei, aż wreszcie po półgodzinnem oczekiwaniu dotarł do jakiegoś młodego urzędnika.

— Pan sobie życzy jakiegoś adresu, co? — spytał ten gorączkowo.

— Nie, panie, chciałbym się dowiedzieć o podanie...

— Ależ, proszę pana. tu adresy, nie widzi pan napisu? Tyle ludzi czeka!

— Chciałbym się dowiedzieć o sprawie kinematografu...

— To do nas nie należy, na inspekcję, — zwrócił się do następnego interesanta.

Roman odstąpił i dopiero teraz zrozumiał, że w podobnym ścisku, brudzie, zaduchu, nic nie było dziwnego, iż karta korespondencyjna Stokłosa o adres czekała pięć tygodni na załatwienie. Zwrócił się do jednego z sąsiadów z pytaniem:

— Proszę pana, czy tu zawsze taki ścisk?

— Ścisk? — zdziwił się lekko, — to. jeszcze nie panie, mało ludzi; dopiero jak przyjdą po przepustki, po paszporty, wtedy jest ścisk.

— Gdzież oni stoją? — uśmiechnął się Roman.

— Ano, depcą sobie po nagniotkach.

— Gdzie jest, proszę pana, inspekcja?

— Hm, mógłby pan przejść tędy, — wskazał drzwi, — ale to wejście dla urzędników, niechże pan wyjdzie do sieni i pierwsze drzwi na prawo.

Roman poszedł za wskazówką, a otworzywszy drzwi, znalazł się w długim, wązkim przedpokoju, gdzie przy oknie mieściło się biurko, przy którym siedział urzędnik w mundurze. Z prawej strony stała ławka dość prymitywna, z lewej aparaty telefoniczne.

Ważka ta kiszka w tej chwili wydawała się pełna ludzi, jakkolwiek naprawdę było tylko trzech przestępców, przetrwanych przez dwóch żołnierzy policyjnych. Jeden z przestępców, chłopak młody, z wyrazem sępi i upartym, udawał skrucę i tłómaczył się niezdarne ze znęcania się nad koniem. Przeciw niemu świadczyło grube, potrząskane biczysko i słowa żołnierza. Drugi był pijany dorożkarz, a trzeci, złodziej kieszonkowy, schwytany na gorącym uczynku.

Roman musiał wysłuchać wszystkich trzech spraw i był z całem uznaniem dla urzędnika, wysokiego, szczupłego, z twarzą wygoloną, który nerwowo to palił cygaro, to odkładał, ale cierpliwie wysłuchiwał skargi i obrony. Winy ich były jednak tak oczywiste, że odesłał ich do aresztu, poczem zwrócił się uprzejmie do Romana:

— Czego pan sobie życzy? zgubił pan co? znalazł? skarży się pan na kogo? — wziął pióro do ręki, ażeby zapisać odpowiedź.

— Nic z tego, — uśmiechnął się Roman z tej gotowości, — wskazano mi inspekcję jako miejsce, w którym się dowiem o podaniu co do otwarcia kinematografu, złożonem w policyi.

Urzędnik szybko zapalił cygaro i odrzekł:

— Mylnie pana skierowano do inspekcji. Czy pan składał podanie?

— Nie.

— Proszę iść do dziennika podawczego, idąc stąd ku bramie, ostatnie drzwi na prawo.

W małym, szczupłym pokoiku siedziało dwóch ludzi, a przed balaskami stało kilku interesantów

z papierami w rękę. Znów czekał Roman swej kolei, i wreszcie, przystąpiwszy do urzędnika, rzekł:

— U pana szanownego mój wspólnik złożył podanie o pozwolenie otwarcia kinematografu.

— Ma pan numer?

— Nie.

— A może pamięta pan dzień, w którym wniesiono podanie?

— Także nie wiem, — odparł zmieszany, z doświadczenia w policyi warszawskiej wnosząc, że surowo i z naganą zostanie odprawiony z niczem, lecz ku miłemu jego zdziwieniu, urzędnik począł przerzucać karty księgi z zapiskami podań i zawał:

— Jest! podał pan Stokłos.

— Cóż się z niem dzieje? — spytał Roman.

— Poszło drogą urzędową. Odesłaliśmy do pana dyrektora policyi, który może już oddał referentowi.

— Czy mógłbym widzieć się z panem referentem?

— Nie wiem, kogo wyznaczył; może pan zajdzie na drugie piętro, któryś z panów komisarzy poinformuje pana.

Po schodach kamiennych, stromych, wszedł na drugie piętro, a dowiedziawszy się, gdzie urzędują referenci, otworzył drzwi do obszernej sali, w której przy biurkach, zawałonych aktami, siedziało kilku urzędników. Tu dowiedział się, że referent jest w innym pokoju, do którego mu drogę dokładnie wskazano. Zastał tam niskiego, szczupłego blondyna ze stereotypowym uśmiechem uprzejmości. Na ukłon Romana grzecznie odpowiedział i spytał ciekawym, przenikliwym głosem:

— Czy pan do mnie?

— Tak jest. Mówiono mi, że u szanownego pana jest w referacie moje podanie w sprawie kinematografu.

Twarz urzędnika spoważniała i odpowiedział zimno:

— Tak, otrzymałem niedawno, ale to ma czas.

— Prosiłbym uprzejmie o łaskawe przyspieszenie.

— Co to znaczy przyspieszenie? — nachmurzył się; — jak przyjdzie kolej na to podanie, załatwię.

— Jednak zależy nam bardzo na czasie, ażeby przed zimą rozpocząć przedstawienia.

— Zależy, nie zależy, to mi wszystko jedno, — podniósł głos, — raz już panu powiedziałem...

W tej chwili drzwi wejściowe cicho się otworzyły, na progu stanął niski, tęgą mężczyzna i spojrzał inkwizycyjnym wzrokiem. Ku wielkiemu zdumieniu Romana, urzędnik surowy i bezwzględny, przybrał wyraz rozbijającej słodyczy i uprzejmości, giął się w niskich ukłonach i czekał z natężeniem rozkazów.

— Co to znaczy? — spytał surowo pan stojący we drzwiach, mierzając dumnym i badawczym wzrokiem Romana, który stał nieporuszony.

— A to w sprawie podania o kinematograf, — pospieszył słodko urzędnik.

Zrozumiał Roman, że ów pan jest zapewne naczelnikiem i skłonił mu się, na co ten nie zwrócił uwagi, lecz rzekł surowo:

— Znów kinematograf? dosyć tego! Pan objaśni, — zwrócił się do urzędnika, — o nowych przepisach, — co powiedziawszy cofnął się i zamknął drzwi.

Urzędnik natychmiast się wyprostował, przybrał wyraz nieprzystępnej powagi i surowości, i odchrząknawszy, rzekł:

— Słyszałeś pan? wyszły nowe obostrzające przepisy, prawdopodobnie nie pozwolimy na otwarcie nowego kinematografu, dość tych, co są, na mały Kraków.

— Zatem pan odmawia? — powiedział Roman zimno.

— Odmawia? Pan widocznie nie zna porządku służbowego w tej sprawie... Czy pan tutejszy?

— Nie, z Królestwa.

— A... — stał się surowszym, — domyślałem się tego, teraz rozumiem to wymaganie przyspieszenia, — uśmiechnął się ironicznie. — wam zawsze pilno... czy pan meldowany?

— Nie wiem, to rzecz rządu i stróża, nie moja.

— O, przepraszam, jeśli pan przychodzi do nas z podaniem, powinien pan wiedzieć, czy jest pan w porządku z władzą?

— Dowiem się... czy pozwoli pan przyjść i dowiedzieć się o losie podania?

— Niepotrzeba, w swoim czasie otrzyma pan odpowiedź.

Roman wyszedł zniechęcony i skierował się wprost do mieszkania Stokłosa.

Przyjął go podobnie, jak wczoraj, leżąc w łóżku i spytał z miejsca:

— No i cóż tam?

— Zle, — i opowiedział szczegółowo rozmowę z referentem.

— Głupstwo, — uśmiechnął się Stokłos — ten referent i wogóle nasi urzędnicy z zasady piętrzą trudności.

— Czy idzie o łapówkę? — spytał Roman.

— Prawdę powiedziawszy, łapówka daje się wyjątkowo, natomiast protekcja jest wszędzie potrzebna, nawet w stosunku do woźnego lub żandarma. To choroba ogólna w Galicyi.

— A cóż teraz zrobimy? — zastanawiał się Roman.

— Bezpośredniej drogi do referenta na razie nie mam, ale znajdę może i dam panu znać.

Po kilku chwilach rozmowy opuścił Roman mieszkanie Stokłosa.

Wracając do domu, spotkał stróża i spytał go:

— Czy zameldowaliście mnie w policyi?

— A juści, proszę pana.

— Dawno?

— Będzie temu ze trzy dni?

— Dlaczego tak późno?

— A bo w tej policyi taka mitrega czasu, a ja tu muszę służbę robić, bo stracę miejsce.

Nazajutrz dostał wezwanie stawienia się w policyi. I znów zastał dużo interesantów i musiał czekać swej kolei. Stanął przy biurku urzędnika niemłodego, który obojętnie spojrzał i zapytał niewyraźnym głosem:

— Czego? czy jest wezwanie?

Roman pokazał mu otrzymany papier.

Urzędnik zwolna a dokładnie odczytał wezwanie, które sam był podpisał, następnie ruchem powolnym sięgnął po księgę, rozłożył ją, obejrzał pióro, zapalił papierosa, obojętnie spojrzał na Romana, i zabierając się do pisania, mruknął pod nosem:

— Imię i nazwisko? — a otrzymawszy odpowiedź, pytał dalej: — paszport jest?

Roman przedłożył żądany dokument. Zaczęło się systematyczne odczytywanie, a po chwili urzędnik podniósł oczy na Romana:

— Gdzie jest matka i siostra Irena?

— W domu, u siebie.

— Nie o to pytam, — mówił powolnie, — czy są z panem w Krakowie?

— Tak jest.

Odczytał przypisek w paszporcie o zabronieniu powrotu do pewnego czasu, i nie patrząc na Romana, tylko wskazując palcem na przypisek, mówił:

— Hm, co to znaczy? za co?... był pan zamieszany w te awantury, hm... co?

— Policyja warszawska wie o tem, nie ja.

Urzędnik spojrzał ukradkiem na niego, zakaszłał, rzucił papierosa, zapalił nowego i powiedział flematycznie:

— Zaraz zapiszę, — począł systematycznie sprawdzać rubryki i wypisywał szczegóły paszportowe, co trwało dość długo, wreszcie zwrócił paszport.

— Czy mogę już iść? — spytał zniecierpliwiony Roman.

— Czego pan się spieszy? — mówił pomału przez nos, — mamy czas. Powiedz mi pan, jakie masz pan środki utrzymania w Krakowie?

— Żyję z gotówki.

Urzędnik zmierzył go obojętnymi oczyma, i leciutko uśmiechając się, mówił:

— Gotówka się wyczerpie, a może się wyczerpała... jakie mieszkanie pan zajmuje tutaj, z meblami, czy bez?

— Własne meble.

— Musi pan mieć dużo tej gotówki, czyli kapitały, co?

— Jakie tam kapitały? — uśmiechnął się Roman, — trochę zaoszczędzonych pieniędzy i z nich żyję.

— Ja muszę w rubryce zapisać dokładnie środki utrzymywania się pana w Krakowie, taki jest przepis. O, widzi pan? — wodził palcem po księdze, i wyliczał: — robotnik, rzemieślnik, prywatna służba... z własnych funduszy i kapitałów. Pan, po myśli tego wzoru, należy do kapitałów, i tu wpiszę, dobrze?

— Jeśli pan uważa, że tu należę, niech będzie tu, — uśmiechnął się Roman.

— Ile wynosi pański dochód miesięcznie?

— Wydaję na dom około dwustu koron.

— Dobrze, zapiszę, — a po skończeniu, lekkiem skinieniem głowy odprawił Romana.

W kilka dni po tem wezwaniu do policyi, przyniósł stróż do mieszkania Czajkowskich papier urzędowy zatytułowany: „Zeznanie do podatku osobisto-dochodowego“.

Nastąpiła wielka narada rodzinna, co właściwie należy zapisać w dochodach, gdyż z wymienionych w arkuszu podatkowym żaden nie nadawał się do ich położenia. Były tam bowiem rubryki dochodów: